



Mirosław Derecki

## TROPEM LUDZI MAJORA HUBAŁA: PAMIĘTNA NOC

Pod koniec 1939 r. do lasów spalskich na Kielecczyźnie przybywa Oddział Wydzielony Wojska Polskiego\* pod dowództwem majora Dobrzańskiego („Hubała”), ostatnia umundurowana „jednostka” wojskowa, która nie złożyła broni. Podczas licznych potyczek z Niemcami oddział stopniał do kilkunastu żołnierzy. Biwakują po lasach. W grudniu major Hubal wyjeżdża do Warszawy, aby nawiązać kontakty z władzami konspiracyjnymi. Po jego powrocie, 24 grudnia, oddział zbiera się w leśniczówce Bielawy w lasach studzieńskich niedaleko Opoczna.

Ej, jaka radość musiała ich wtedy rozpierać! Major wracał z Warszawy i z Kielc z dobrymi włościami, kończył się okres poniewierki. Nie będą już musieli tulać się po dzikich ostępach lasów spalskich, a wieczorami zasiądą w ciepłej wiejskiej izbie zamiast na śniegu, przy roznieconym na jakiejś polance ognisku. Od chwili, gdy opuścili wygodną kwaterę pod Radoszycami w powiecie koneckim, wciąż musieli wymykać się Niemcom, depczącym im po piętach. I choć powoli dołączali się nowi ochotnicy, choć widzieli wielki zapal wśród tych nowych ludzi - taki Tadzio Madej, zwany Tadkiem Lotnikiem, krążył przez cztery doby po lasach spalskich nim odnalazł oddział leżący biwakiem w gęstwinie - dręczyła ich niepewność... Do spodziewanej wiosennej ofensywy francuskiej jeszcze kilka miesięcy. Czy zdołają przetrwać? Czy władze konspiracyjne zgodzą się, aby oddział nadal egzystował i otwarcie walczył z Niemcami? Czy każą im po tylu trudach zrzucić mundur?

Ale teraz wszystko wydawało się być na dobrej drodze. Major, wyjechawszy w pożyczonym od leśniczego Eugeniusza Wróblewskiego z Dęby ubraniu i pod nazwiskiem Chrzęszczewski, dotarł do Komendanta Głównego Służby Zwycięstwa Polski (potem ZWZ) gen. bryg. Michała Karaszewicz-Tokarzewskiego, który istnienie oddziału zaakceptował, nadał awanse i przyrzekł pomoc. Generał oświadczył, że ich wojsko „przyda się na wiosnę”, więcej: zaproponował majorowi objęcie funkcji komendanta okręgu SZP w Kielcach, na co zresztą ten nie chciał się zgodzić, bo to by oznaczało rozstanie się z oddziałem. Ostatecznie stanęło na tym, że zostanie zastępcą komendanta okręgu, dowodząc jednocześnie swoimi ludźmi. Więc major pojechał do Kielc i przekazał tamtejszym władzom zorganizowaną przez

siebie placówkę konspiracyjną w Radoszycach. Do pełnego porozumienia jednak wówczas nie doszło. Po dwudziestu kilku latach porucznik „Sęp”\*\* , Marek Szymański, jeden z Hubalczyków, napisał m. in. na łamach „WTK”: „Tak więc okręg kielecki nie przyjął koncepcji Hubala, aby z oddziału stworzyć zbrojne ramię konspiracji”. Od tej chwili pomiędzy Hubalem a Kielcami miał z biegiem czasu narastać coraz większy konflikt.

Ale o tych ostatnich sprawach żołnierze nie wiedzieli. Wiedzieli natomiast, że major wraca z dobrymi wieściami z Warszawy i że wszyscy spotkają się w leśniczówce na Bielawach, gdzie odbędzie się pierwsza w kraju wojenna i wojskowa wigilia.

Odwiedziłem leśniczówkę Bielawy. Pojechałem tam wraz z przewodniczącym Prezydium GRN w Poświętnem, Marianem Matuszczykiem, bratem Józefa Matuszczaka, który przed laty opuścił pewnego dnia rodzinną wieś i w wykombinowanym gdzieś mundurze, z własną bronią zgłosił się do oddziału Hubala. Z Opoczna pojechaliśmy na Północ w kierunku Inowłódza, potem w Gielzowie skręciliśmy w gęsty, wysokopienny, sosnowy las. W głąb wiodła nas szeroka leśna droga, obramowana dwoma szeregami pożółkłych w listopadowych przymrozkach brzoź.

Leśniczówka Bielawy wychynęła nagle z lasu Borowiny. Na rozległej polanie ustawione w czworobok drewniane stodoły i magazyny na pasze dla zwierząt leśnych. Wszystko otoczone ogrodzeniem z drewnianych żerdzi. W bramie siedział podpalany pies myśliwski. Sama leśniczówka, wypełniająca jeden z boków prostokąta, to długi, murowany budynek, trochę przypominający barak. Stare mury zachowały się w doskonałym stanie. Zniszczenia wojenne jakoś omijały leśniczówkę.

Za carskich czasów było to owczarnia, należąca do klasztoru filipinów w Poświętnem. Potem car odebrał klasztorowi rozległe tereny, a w dawnej owczarni ustanowił siedzibę łowczego. Tutaj też stała sotnia kozaków. Jeszcze dzisiaj w pobliżu leśniczówki widać obszerny, zarosły trawą, okrągły plac dawnej ujeżdżalni. Wokoło mieściły się stajnie i kozackie kwatery. Sam łowczy mieszkał po pańsku. Z tamtego okresu pozostały resztki wodociągu.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Bielawy stały się reprezentacyjną leśniczówką, punktem wypadowym na polowania, tutaj nierzadko przyjeżdżał prezydent Mościcki. I tutaj, w niewielkiej salce o pięknym drewnianym, belkowanym stropie i z kominkiem pod jedną ze ścian, odbywały się wówczas eleganckie myśliwskie wieczery.

Pierwsza wigilijna wieczerza okupacyjna miała zgromadzić oficerów i garstkę inteligencji z okolicy, żołnierzy, chłopów i robotników, zwykłych gajowych i leśniczych.

W Polsce, gdzie nie stąpnać - legenda. Na Bielawach ta prawdziwa, o Hubalu, rozwinęła się jeszcze w drugą, wymyśloną przez okolicznych ludzi. Opowiadał mi Stanisław

Chmiel, obecny leśniczy, historię o ukrytych jakoby w jednym z mieszkań dokumentach oddziału Hubala. Stary robotnik leśny. Karol Jura (zapewne kuzyn słynnego Jury od Hubalczyków), wskazywał nawet Chmielowi dokładne miejsce, w pokoju obok pieca, gdzie pod podłogą powinny znajdować się historyczne papiery. Zerwali podłogę, ale domniemanej skrytki nie było. W niczym to jednak nie przekonywało miejscowej ludności. Legenda powstała, więc musi istnieć nadal. Toteż musiała się narodzić następna: że po likwidacji oddziału przyszedł na Bielawy jeden z jego żołnierzy i pokryjomu dokumenty zabrał. Aby dowiedzieć się jak było naprawdę, musiałem pojechać aż do Gdańska, ale o tym później.

No i była wigilia Hubalczyków. Oddział ściągnął tego dnia z lasów, z dalekich podróży wrócił major. Fantazja pisarska podsunęła Wańkowiczowi opis tej wieczery jako wielkiej, roziskrzanej, narodowej fety, na którą spoglądały ze ścian portrety prezydenta Mościckiego, marszałków Piłsudskiego i Śmigłego-Rydza, a pod ścianami przewalał się tłum eleganckich oficerów, pań w wieczorowych sukniach i panów w ciemnych tużurkach. Może zresztą tak właśnie odbierali tę uroczystość młodzi chłopcy w mundurach, których rozpierało szczęście, że gdy niedaleko, w Spale, obchodzi wigilię hitlerowski generał Blaskowitz ze swym sztabem, tutaj, w kwaterze wojska polskiego, bez strachu świętuje polska niepodległość i niepokorność? Piękny, ale mało prawdopodobny jest ten obraz Wańkowicza.

Po latach Marek Szymański, który wówczas po kilku „głębszych” zameldował buńczucznie, że wyjeżdża natychmiast, aby zdobyć majorowi Opoczno, opisuje dzień 24 grudnia 1939 r. już tylko w sposób krótki i rzeczowy („WTK”, 1966 r.): W wigilie wrócił major z Kielc i tego dnia wieczorem oczekiwał nas w leśniczówce Bielawy. W dawnej świetlicy prezydenta Mościckiego odbyła się uroczysta wieczerza. Major podzielił się z nami wiadomościami z Warszawy i wręczył awanse na podporucznika Bemowi a na wachmistrzów - Atickiemu i Rodziewiczowi. Rozdano podarki gwiazdkowe. Do stołu zasiedli razem z nami przedstawiciele społeczeństwa kieleckiego i opoczyńskiego oraz tutejsi gajowi. Znowu niepełna relacja. Sucha, reporterska, albo - jak kto woli - żołnierska. Że niby po co rozczulać się nad dawno przebrzmiałymi historiami? Ale kiedy odwiedziłem Szymańskiego w Warszawie, w redakcji „Gazety Handlowej”, gdzie pracuje jako dziennikarz, relacja zaczęła nabierać kolorów rozbudowywać się.

Na wigilii musiało być wówczas około trzydziestu osób. Z tego przynajmniej dwadzieścia to członkowie oddziału. Na ścianie flaga polska. Były stoły ustawione w podkowę, a na nich w bród jedzenia, papierosów, no i nie obeszło się bez kilku litrów spirytusu. W części „oficjalnej” major wygłosił krótką, żołnierską mowę na temat niewoli i okupacji. Zresztą nie lubił przemówień i w całej historii oddziału tylko raz jeszcze wcześniej, 11 listopada, powiedział kilka okolicznościowych słów na temat niepodległości. Teraz po

wstępnie poinformował zebranych o rozmowie z gen. Tokarzewskim i wręczył awanse Alickiemu, Bemowi i Rodziewiczowi. Wigilia trwała nie więcej niż trzy godziny. Potem goście rozjechali się do domów, a wojsko zaczęło pić po wojskowemu. Na koniec wyniesiono stoły, na podłodze rozścielono słomę i wojsko poszło spać. Tak, z szumem alkoholu w głowie, ale przecież także z nadzieją na lepsze czasy i radością, że są na coś potrzebni, że są „oficjalni”. No bo nawet jeśli „przedstawiciele społeczeństwa” przyjechali bez lęku biesiadować razem z nimi...

Siedzieli na Bielawach dziesięć dni. Jedli, polowali. W lasach stały jeszcze drewniane „ambonki”, z których myśliwi dawniej strzelali do zwierzyny, teraz oni na krótki czas zamienili się w myśliwych. Galowi prowadzili w najbardziej dogodnym do strzału miejscu. Co tu dużo gadać, wesoły był czas! A jeszcze przedtem, zaraz po wigilii, niektórych poniosła fantazja. Nowo upieczony wachmistrz Alicki wraz z Rysiem i jeszcze jednym żołnierzem dopięli mundury i pomaszerowali na pasterkę do odległego o trzy kilometry Poświętnego, do klasztoru filipinów. Nikt ich nie zaczepił, choć we wsi był posterunek granatowej policji i niemiecka placówka wojskowa. A jeszcze, po wigilii, zjawił się ksiądz Mucha od filipinów i wprosił się do oddziału na kapelana. A jeszcze napędzili strachu generałowi Blaskowitzowi, kiedy polował w lasach spalskich i wobec tego im przeszkadzał polować... Taka to była wigilia na Bielawach.

Ale co z legendą o ukrytych dokumentach? Ani Szymański, ani nikt inny nie przypominał sobie chowania jakichś hubalowskich papierów na Bielawach. Oddział pozostawił wiele skrytek na trasie swoich pochodów, ale tutaj?...

Zastanawiałem się, kto by jeszcze mógł wiedzieć coś na ten temat. Może ówczesny leśniczy? Przed nim Hubalczyki nie mieli chyba tajemnic. To on, logicznie rozumując, powinien być osobą, do której kiedyś, w przyszłości, zgłosi się ktoś po odbiór „depozytu”. Obecny leśniczy, Stanisław Chmiel, powiedział mi, że podczas okupacji na Bielawach rezydował doświadczony leśnik Józef Żulikowski, który po wyzwoleniu wyjechał gdzieś do województwa gdańskiego. Postanowiłem go odszukać.

Z redakcji zamówiłem rozmowę telefoniczną z Okręgowym Zarządzeniem Lasów Państwowych w Gdańsku. Leśnika ciągnie do lasu i jeśli Żulikowski żyje, gdańskie władze leśne muszą coś o nim wiedzieć. Odezwała się centrala OZLP. „Czy przypadkiem nie mógłby mnie ktoś u państwa poinformować o losach leśniczego Żulikowskiego, który w 1939 roku na Kielecczyźnie...” - zacząłem. Dość obojętnym głosem telefonistka powiedziała: „Pan Żulikowski? Już pana z nim łączę”. Tak w najprostszym w świecie sposób odnalazłem tego, którego nazwiska, ani dalszych losów, nawet sami Hubalczyki nie znali. Pojechałem więc do Gdańska.

Krępa, silna sylwetka. Nad górną wargą mały wąsik. Zielony mundur, okrągła czapka ze srebrnym leśniczym znaczkim. Pan Józef Żulikowski prawie od czterdziestu lat nie rozstaje się z tym mundurem. Od skromnego praktykanta w leśnictwie Busko w 1930 r. doszedł z biegiem lat do stanowiska starszego inspektora do spraw mechanizacji w Wydziale Głównego Mechanika w gdańskim OZLP. Z młodego, niedoświadczonego w sprawach politycznych i społecznych człowieka stał się aktywnym członkiem partii, jest ławnikiem Sądu Wojewódzkiego i członkiem Kolegium Karno-Administracyjnego przy MRN w Gdańsku. Za pracę społeczną dwukrotnie odznaczony Krzyżem Zasługi, Odznaką Tysiąclecia i odznaką za zasługi dla miasta Gdańska. Żona Maria, trzydziestoletni okres wypełniła pracą skromnej, choć cenionej nauczycielki. Tą samą pracą, którą zajmowała się na wiele lat przed wojną, najpierw gdzieś w Górach Świętokrzyskich, a potem podczas pobytu z mężem i synkami na Bielawach. Wówczas uczyła w szkole w Poświętnem i tamtejszy przewodniczący PGRN, Marian Matuszczak, mój znajomy z wyprawy do leśniczówki, jest jednym z jej uczniów. To właśnie dzięki pani Marii łatwiej nam przyszło zanurzyć się z powrotem w tok zdarzeń sprzed lat.

Osiedlili się na Bielawach w 1935 r. Młode małżeństwo, dwoje małych dzieci. Codzienna, ciężka praca, życie na odludziu. Ale do odludzia byli przyzwyczajeni. To przecież wchodziło między innymi w skład zawodu męża. Mimo wszystko młodej kobiecie z początku do Bielaw trudno było się przyzwyczaić. I dlatego opowieść Marii Żulikowskiej zaczyna się od opisu poczucia samotności i obcości.

- Mieszkaliśmy przedtem w okolicach Gór Świętokrzyskich. Byłam przyzwyczajona do szerokich, rozległych górskich krajobrazów, do wielkiej przestrzeni. Tutaj był tylko las i las. Cały rok tęskniłam za widokiem gór, czułam się jak w więzieniu. Aż raz mąż kazał założyć konie do bryczki i powiózł mnie lasami na jakieś wzgórze, skąd widać było kawałek świata. I wtedy zamiast się cieszyć, śmiać, popłakałam się. Ale to z radości, ze wzruszenia...

Powoli jednak wrastali w to swoje nowe życie. Miało ono przecież i uroki. Tutaj często zjeżdżali myśliwi, odbywały się wesołe zabawy, grzmiały rogi po lasach, pukały sztucery i dubeltówki. Roboty było wtedy co niemiara, a i nerwów przy tym sporo, bo niełatwo młodemu leśniczemu kierować całą machiną wielkiego polowania, dopilnować, aby wszystko było zapięte na ostatni guzik, szczęście, że siedział jeszcze w leśniczówce stary, brodaty gajowy Pawłowski, rezydujący tutaj od czasów carskich, doskonale obeznany z wszystkimi tajnikami wielkich łowów. I tak było do wojny.

W 1939 r. Józefa Żulikowskiego powołano do wojska, kampanie wrześniową odbył w grupie generała Kleeberge. W październiku wrócił do domu. Zaczęło się znowu „normalne” leśne życie, tyle, że pod władzą okupanta, w strachu i niepewności.

Kiedyś, w listopadzie, gdy mąż wybrał się na inspekcję do odległego zakątka podległych mu lasów, do leśniczówki zapukało dwóch żołnierzy w polskich mundurach i w pełnym uzbrojeniu. U płotu stały uwiązane za cugle konie. Oświadczyli, że nadciąga Wojsko Polskie i że za godziną przybędzie ich dowódca, major. Była to dla Marii Żulikowskiej wiadomość wprost niewiarygodna. Potem przyszła fala radości i uniesienia. Wreszcie normalna kobieca reakcja - trzeba natychmiast zabrać się do szykowania kolacji, na pewno będą głodni.

Wkrótce przyjechał ten ich major, a z nim chyba jeszcze ze czterech żołnierzy. Wszyscy konno. Posiedzieli trochę, porozmawiali i zniknęli. Ale odtąd byli stale w kontakcie z leśniczówką. Zjawiali się co pewien czas we dwóch, trzech, głównie po żywność. Leśniczy i gajowi strzelali dla nich dziką zwierzynę, a nie jeden raz ubili i coś z własnego inwentarza.

A potem wojsko majora Hubala postanowiło urządzić na Bielawach uroczystą wigilię, zjechali konno i zbrojno. Przybyli jacyś cywile. Cały dziedziniec zastawiony był bryczkami. Kobiety, oczywiście, zajęły się przygotowaniem wieczerzy wigilijnej. Pani Marii pomagała wówczas Ludmiła, żona leśniczego Wróblewskiego z Dęby i dziewczyna z oddziału zwana Tereską. Mężczyznom co innego było wtedy w głowie, ale żona leśniczego jest zupełnie pewna, że ugotowała zupę rybną. Leśniczemu bardziej wryła się w pamięć jałówka, którą poświecił dla żołnierzy. Niby to drobnostki, ale przez trzydzieści lat pamięć o nich się nie zatarła. Sama wigilia przeszła dla obojga prawie niepostrzeżenie. Było tyle zajęcia... Lecz zaraz po wigilii, kiedy się już goście rozjechali, kiedy już wódka została wypita, pani Maria zobaczyła taką scenę:

- Pamiętam, jak major siedział przy kominku podparty na łokciu. Ogień buzował, burka zwisała majorowi z ramienia. A naokoło siedzieli jego chłopaki i śpiewali mu pieśni. Tak, proszę pana. Przeżywaliśmy Polskę wtedy. I nie było strachu.

Żulikowski utrzymywał stały kontakt z klasztorem filipinów w Poświętnem. Pozostawał w zażyłych stosunkach z księdzem Muchą, z klerykiem Sobczykiem - mówili sobie na ty. Kiedyś młodzi księża zaczęli się napierać, żeby im pokazał wojsko polskie,

- Więc ja mówię do księdza Muchy: słuchaj Ludwik, jak chcesz to siadaj zaraz ze mną na sanie i jedziemy do mnie na Bielawy. Powiedz księdzu superiorowi, że jedziesz złożyć życzenia świąteczne mojej żonie. No i przyjechaliśmy na Bielawy, był już pierwszy dzień Bożego Narodzenia. W leśniczówce cisza, pełno śniegu naokoło. Chłopaki spali w świetlicy jeszcze po nocy wigilijnej. Wymotaliśmy się z kozuchów, stanęliśmy przed domem. To co, mówię, naprawdę, chcesz zobaczyć wojsko polskie? A on dalej mi nie wierzył. Poszliśmy najpierw do mojej kancelarii, wypiliśmy po jednym głębszym. No i zaraz Mucha przekonał się, że mówiłem prawdę, bo z sąsiedniego pokoju słychać było glosy, a to już major siedział z

kilkoma swoimi i grali w karty. Potem było tak, jak opisuje Wańkowicz w „Hubalczykach”: ksiądz musiał wykazać się umiejętnością picia spirytusu i gry w bridża. Wreszcie zadeklarował, że zostanie kapelanem w oddziale. No i został. Tyle, że nie wiadomo, czy później tego nie żałował. Chłop dał się w pierwszej chwili ponieść fantazji, a potem głupio już się było wycofywać. Można powiedzieć, że to właściwie ja go trochę „wrobiłem” w to całe kapelaństwo. Wrócił jeszcze do klasztoru po swoje księżowskie akcesoria i jakoś przekonał superiora, żeby go „wywalili” ze zgromadzenia. Mucha zabrał ciuchy, wsiadł do sań i tyle go widzieli. Wsiadł do sań, bo wtedy jeszcze nie miał pojęcia o konnej jeździe, dopiero potem w oddziale go uczyli, były przy tym niezłe szopki, ale to już zupełnie inna historia.

Po odejściu Hubalczyków z Bielaw Żulikowski nadal utrzymywał z nimi kontakt, m. in. zawoził broń do Gałek Krzczonowskich. Coraz częściej znikał z domu na całe tygodnie. Niemcy zaczęli coś węszyć. Pani Maria bezustannie drżała z obawy, że męża zaaresztują. Szczególnie wówczas, gdy w ręce Niemców wpadł leśniczy Wróblewski z Dęby. Za Hubalowe sprawy długo męczono go w więzieniu w Tomaszowie Mazowieckim, Niemcy starali się z niego wydrzeć zeznania na temat ludzi, którzy pomagali oddziałowi. Wróblewski był twardy, dał się zakatować na śmierć, ale słowa nie pisnął.

Niedługo po śmierci Hubala pod Anielinem przyszedł do leśniczówki wachmistrz Romuald Rodziewicz, zwany w oddziale Romanem i przyniósł na przechowanie kilka fotografii. Były to w większości odbitki zdjęć robionych w oddziale w Gałkach Krzczonowskich. Ale było jeszcze jedno zdjęcie, najcenniejsze. Przedstawiało majora tuż po śmierci, leżącego na rozpiętym białym kozuchu, z odrzuconą do tyłu głową. Była to jedna z fotografii zrobiona przez Niemców teraz w Anielinie, na podwórzu obejścia gospodarza Laskowskiego, gdzie przeniesiony z lasu pracą żołnierzy Wehrmachtu Hubal wydał ostatnie tchnienie. Jak dostało się to zdjęcie w ręce Polaków, prawie tuż po wywołaniu, opowiem w innym reportażu.

Na rodzinie Żulikowskich fakt przekazania im tak cennego wówczas dokumentu wywarł ogromne wrażenie. Żona leśniczego wsunęła zdjęcia do butelki, korek dokładnie zalakowała i zakopała butelkę pod przyciesią jednej ze stodółek obok leśniczówki. Prawdopodobnie butelka spoczywa w tym miejscu do dzisiaj.

I tak wyjaśnia się po części miejscowa legenda o ukrytych na Bielawach tajnych dokumentach Hubala. Bo każda legenda nosi w sobie część prawdy.

\*Bogdan Hillebrandt w książce „Partyzantka na Kielecczyźnie 1939-1945” podaje nazwę – Oddział Wydzielony Kawalerii Wojsk Polskich.

\*\* Bogdan Hillebrandt op. cjt. Uparcie nazywa „Sępa” - „Sękiem” - przyp. M.D.

Pierwodruk: „Kamena”, 1968, nr 26, s. 8-9